

### Kilka przypisów do wspomnień. Rozmowa z Ryszardem Matuszewskim

**Przemysław Kaniecki:** Opublikowany przed kilkoma laty przez wydawnictwo „Iskry” *Alfabet* opatrzył Pan podtytułem *Wybór z pamięci 90-lotka*. To niezwykle cenna książka, bo tytułowa pamięć jest i długa, i bogata.

**Ryszard Matuszewski:** Mój *Alfabet* powstał z inicjatywy redaktora naczelnego wydawnictwa „Iskry” Wiesława Uchańskiego. W roku 2002 spytałem go, czy nie zechciałby wydać trzeciego tomu moich wspomnień. Ich pierwszy tom *Żółte dzioby, zielone lata* opublikowałem w roku 1990 w wydawnictwie „Alfa”: obejmował on dzieje mojej rodziny, moje dzieciństwo i lata szkolne. Drugi tom, *Chmury na pogodnym niebie*, wyszedł w roku 1998 w wydawnictwie „Vipart” i dotyczy lat 1932–1939. Kończy się opisem udziału w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Uchański orzekł, że kontynuacja wspomnień nie wywołałaby szerszego czytelniczego zainteresowania, byłaby to publikacja raczej elitarna, dlatego też zaproponował mi napisanie książki w formie alfabetu wspomnień. Ta forma zyskała znaczną popularność od chwili, kiedy posłużyli się nią między innymi Antoni Stoniński (*Alfabet wspomnień*, 1975), Stefan Kisielewski (*Abecadło Kisiela*, 1990) i Czesław Miłosz (*Abecadło Miłosza*, 1997). Uznałem, że redaktor Uchański zrobił propozycję bardzo zaszczytną, biorąc pod uwagę to, jakiej rangi pisarze stosowali ją przede mną. Zabrałem się więc ochotczo do pisania mojego *Alfabetu*, a ponieważ los pozwolił mi w moim długim życiu zetknąć się z wieloma ciekawymi ludźmi – zwłaszcza z literackiego środowiska – miałem szansę napisać książkę, która wzbudzi zainteresowanie.

Główna trudność, z którą musiałem pokonać, polegała na konieczności narzucenia sobie rygoru pisania w sposób skrótowy i zwarty oraz ograniczenia się do anegdotycznej strony wspomnień o ludziach pióra, o których jako krytyk, zwykłem pisać inaczej. W *Alfabecie* było miejsce na anegdotę, nigdy zaś na analizę twórczości.

W rok od wydania mojej książki Uchański stwierdził, że sprzedaje się ona dobrze. Mnie zaś tylko żal, że unikając nadmiernego jej rozszerzania, pominąłem kilka osób, których w moim *Alfabecie* nie powinno było zabraknąć (na przykład Stefan Zbrozyny). W zasadzie trzymałem się pisania o ludziach mojej oraz starszej ode mnie generacji, rzadziej – młodszych. Dziś, cztery lata po wydaniu *Alfabetu*, jestem świadomy, jak szybko upływający czas sprawia, że moje hasła o ludziach zaczynają wymagać dopełnień, najczęściej smutnych. Iluż ludzi, moich przyjaciół jeszcze żyło, kiedy pisałem *Alfabet*, a dziś nie ma już ich między nami...

**Przemysław Kaniecki:** Czy mógłbym zapytać Pana o kilka spraw, które poruszył Pan w swojej książce, a które może zechciałby Pan rozwinąć?

**Ryszard Matuszewski:** Oczywiście, a o czym miałbym opowiedzieć?

**Przemysław Kaniecki:** Interesują mnie w szczególności dzieje „Europy” – pisma, którego pierwszy numer, zatrzymany przez Władysława Gomułkę, ukazał się właśnie w reprintowym wydaniu Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Interesuje mnie też środowisko „Kuźnicy”, a także założonej później „Nowej Kultury” i rola Pawła Hoffmana, intrygującego człowieka, który równo 60 lat temu został mianowany redaktorem naczelnym „Kuźnicy”, a siedem lat później zdjęty ze stanowiska naczelnego „Nowej Kultury” przez Komitet Centralny.

**Ryszard Matuszewski:** Na początek powiem Panu coś, co może Pana szczególnie zaciekać, skoro zajmuje się Pan twórczością Konwickiego. To właśnie Paweł Hoffman jako pierwszy wyraził przy mnie opinię, że Konwicki jest pisarzem o wielkim talencie i że daleko zajdzie. Podstawą tej opinii Hoffmana był fakt, że przeczytał on rękopis powieści *Rojsty*, powstałej w roku 1947, lecz wówczas nie dopuszczonej do druku.

**Przemysław Kaniecki:** A Pan czytał *Rojsty* przed ich opublikowaniem, czy dopiero w 1956 roku?

**Ryszard Matuszewski:** Dopiero w roku 1956.

**Przemysław Kaniecki:** I co Pan wtedy myślał o tej książce?

**Ryszard Matuszewski:** Przeczytałem ją z dużym zainteresowaniem i uważam do dziś za bardzo wiarogodne świadectwo przeżyć i przemyśleń autora.

**Przemysław Kaniecki:** Ale jednak dosyć kontrowersyjne.

**Ryszard Matuszewski:** Dlaczego?

**Przemysław Kaniecki:** Ponieważ zdarza się, że odczytuje się *Rojsty* nie tyle jako powieść pacyfistyczną, ile jako bluźnięcie na AK.

**Ryszard Matuszewski:** Absolutnie się nie zgadzam z taką interpretacją. Przeczytałem teraz na świeżo *Rojsty*. To najrzetelniejsza relacja o przeżyciach autora i o sytuacji wileńskiej AK, kiedy Konwicki był w jej partyzanckich oddziałach. Przy czym Konwicki, podobnie jak inni autorzy książek o partyzantce tamtych czasów, na przykład Jan Józef Szczepański, rzetelnie pisał prawdę i nie usiłował heroizować obrazu akowskiej partyzantki. Konwicki stwierdza wyraźnie, że oni bali się wtedy jakichkolwiek zetknięć zarówno z Armią Czerwoną, jak i z radziecką partyzantką. Wcale nie orientowali się, że sytuacja AK – zwłaszcza na Wileńszczyźnie – jest beznadziejna i że Churchill z Rooseveltem przesądził o powojennej sytuacji Polski już na spotkaniu w Teheranie, a potem w Jałcie.

**Przemysław Kaniecki:** Pisząc *Rojsty*, Konwicki był związany z „Odrodzeniem”, zresztą już wtedy przeniesionym do Warszawy, Pan zaś z łódzką „Kuźnicą”. Chciałem Pana zapytać, dlaczego w 1948 roku Hoffman zastąpił na stanowisku redaktora naczelnego „Kuźnicy” Stefana Żółkiewskiego?

**Ryszard Matuszewski:** Mianowanie Pawła Hoffmana – przedwojennego działacza komunistycznego – redaktorem naczelnym przez kierownictwo PPR wiązało się z krytyczną oceną oblicza, które przybrał ten tygodnik, pomyślany w momencie jego powstania (czyli pod koniec roku 1945) jako intelektualna trybuna, promieniującej na środowisko literackie, myśli marksistowskiej. W latach 1947–48 nie tylko zatracił

on swój początkowy ideologiczny impet, lecz również zaczął przejawiać coś, co w kierownictwie PPR określano jako „ześlizgnięcie się na pozycje pięknoduchowskie”.

O ile w pierwszej fazie „Kuźnicy” nadawali ton swymi artykułami i felietonami Stefan Żółkiewski, współzałożyciel PPR i czołowy w pierwszych latach po II wojnie światowej ideolog myśli marksistowskiej oraz sekundujący mu swymi wypowiedziami Jan Kott i Adam Ważyk, o tyle – od roku 1947, kiedy kierownictwo PPR zaczęło coraz bardziej wciągać Żółkiewskiego w aktywność polityczną na terenie jej Komitetu Centralnego – oblicze „Kuźnicy” w coraz większej mierze kształtował pełniący funkcję zastępcy redaktora naczelnego Mieczysław Jastrun. Ten wybitny poeta, w pierwszych latach po wojnie w pełni solidaryzujący się z ideologicznymi założeniami pisma i silnie odreagowujący lata hitlerowskiej okupacji, kiedy musiał się ukrywać z racji pochodzenia i podlegania tak zwanym ustawom norynberskim, w latach 1947–1948 zaczął dość wyraźnie zmieniać swoje nastawienie w związku z tendencjami występującymi w owych latach w polityce kulturalnej Związku Radzieckiego.

Mianowicie, kierunek owej polityce nadawał wówczas Andriej Żdanow (1896–1948) – przy czym był to kierunek skrajnie dogmatyczny, wyrażający się między innymi w ostrym potępieniu twórczości takich wybitnych pisarzy radzieckich owych czasów, jak: poeta Borys Pasternak, poetka Anna Achmatowa czy prozaik i satyryk Michaił Zoszczenko. W późniejszych latach, wkrótce po śmierci Stalina, politykę kulturalną Żdanowa zaczęło również w Związku Radzieckim oceniać z najwyższym krytycyzmem. Jednakże w latach 1947–48, kiedy Żdanow był u władzy, krytycyzm wobec jego werdyktów i anatem, reprezentowany między innymi przez Mieczysława Jastruna, wymagał odwagi i samodzielności myślenia, źle widzianych przez ówczesne kierownictwo PPR.

Drugim członkiem zespołu redakcyjnego „Kuźnicy”, który w latach 1947–48 w swoich felietonach wyraźnie przeciwstawiał się dogmatycznym tendencjom w radzieckiej polityce kulturalnej i dawał wyraz swoim osobistym gustom, źle widzianym przez ortodoksyjnych marksistów, był Paweł Hertz (1918–2001), autor wydanych jeszcze przed rokiem 1939 dwóch młodzieńczych zbiorów wierszy. Po klęsce wrześniowej znalazł się on w okupowanym przez Związek Radziecki Lwowie. Tam został w styczniu 1940 aresztowany i skazany na osiem lat łagru. Z więzień w Chersoniu i Dniepropietrowsku trafił do obozu w Okręgu Świerdłowskim, za Uralem, gdzie zatrudniono przy wyrębie lasu aż do amnestii, którą mu przyniósł – po ataku Hitlera na ZSRR w czerwcu 1941 – układ między emigracyjnym rządem polskim w Londynie a władzami radzieckimi (tak zwany układ Sikorski–Majski).

Przeżywszy następnie lata w sowieckich Kirgizji i Uzbekistanie i doświadczywszy tam różnych, zmiennych kolei losu (łącznie z krótkim aresztowaniem po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między polskim rządem emigracyjnym a władzami sowieckimi, na przełomie lat 1944–45) Hertz wrócił do Polski i zamieszkał w Łodzi. „Kuźnica” do pewnego czasu dawała mu dość znaczną swobodę wypowiedzi, zakładając podyktowane ówczesnymi warunkami politycznymi pozytywne odniesienie się Hertza do głoszonego przez ten tygodnik programu.

**Przemysław Kaniecki:** Co było najważniejsze w tym programie?

**Ryszard Matuszewski:** Oczywiście pozytywny stosunek do Związku Radzieckiego i marksistowskiej ideologii, lansowanie modelu literatury realistycznej, sprzyjającej dokonującym się w Polsce Ludowej przemianom społecznym. Jednakże pozytywny stosunek Hertza do ideologicznych tez „Kuźnicy” miał od początku charakter świadomej gry taktycznej, gdyż zarówno jego literackie gusty, jak i społeczne poglądy wynikały z jego życiowych doświadczeń, a Hertz nawet tego nie ukrywał w rozmowach z redakcyjnymi kolegami. Wstępując w 1947 roku do PPR, dawał wyraźnie do zrozumienia, że traktuje to jako zabieg taktyczny, w swoich felietonach nie krył, że fascynuje go twórczość Marcela Prousta, uważanego przez oficjalnych sowieckich krytyków za przedstawiciela schyłkowej literatury okresu imperializmu (słynny cykl powieściowy *W poszukiwaniu straconego czasu* – wydany w latach międzywojennych w Polsce w przekładzie Boya bez dwu ostatnich tomów, których Boy nie zdążył już przełożyć – musiał czekać na wznowienie i dopełnienie do lat 1956–60). I dopiero Paweł Hoffman, objąwszy funkcję redaktora naczelnego „Kuźnicy”, podjął pryncypialną polemikę z Hertzem w artykule *Walka klas czy walka gustów*. Po jej opublikowaniu w 1949 roku Hertz wystąpił z redakcji. W późniejszych oświadczeniach podkreślał, że nie tylko nie żywi do Hoffmana żalu, ale przeciwnie – jest mu wdzięczny za ułatwienie zachowania własnej postawy i powstrzymania się od angażowania się w pisanie rzeczy niezgodnych z jego przekonaniami.

Notabene to właśnie Paweł Hoffman okazał się w 1955 roku, po podjęciu decyzji o druku na łamach „Nowej Kultury” *Poematu dla dorosłych Ważyka*, główną ofiarą, a tym samym głównym bohaterem politycznej burzy, którą wywołał druk tegoż poematu. Wówczas Hoffman nie tylko został zdjęty ze stanowiska naczelnego redaktora „Nowej Kultury” (co brał pod uwagę podejmując decyzję druku), ale również wkrótce potem wystąpił z PZPR. Zważywszy, że był on ideowym komunistą i członkiem KPP już w latach międzywojennych, miało to szczególną wymowę.

Po październiku 1956 Paweł Hertz należał do zespołu pisma „Europa”, które Pana interesuje. Redaktorem naczelnym „Europy” miał być Jerzy Andrzejewski, zastępcą redaktora naczelnego – Juliusz Żuławski, a członkami zespołu obok Hertza: Marek Hłasko, Mieczysław Jastrun, Henryk Krzeczkowski, Janusz Minkiewicz, Zygmunt Mycielski i Adam Ważyk. Kiedy jesienią 1957 Władysław Gomułka zapoznał się z treścią przygotowanego do druku pierwszego numeru pisma – wydał zakaz jego publikacji, w wyniku czego wszyscy partyjni członkowie zespołu oddali legitymacje partyjne. Był to pierwszy w dziejach PRL zbiorowy akt wystąpienia z partii.

Problem nadziei wiązanych w pierwszych latach po wojnie z ideologią głoszoną przez władze PRL, nadziei żywionych wtedy przez wielu pisarzy, podjęły ostatnio Anna Bikont i Joanna Szczęsna w swojej książce *Lawina i kamienie*. Nawiązały w tytule do metafory Czesława Miłosza, który w swoim poemacie *Traktat moralny* napisał, że „Lawina bieg od tego zmienia po jakich toczy się kamieniach”. Bikont i Szczęsna bohaterami swojej książki uczyniły szóstkę pisarzy. Pięciu z nich (wszyscy poza Tadeuszem Borowskim, który w 1951 roku zakończył życie samobójstwem) po II wojnie światowej przeżyło okres

wiary i nadziei łączonych z ideologią Polski Ludowej, by – poczwwszy od lat przedpaździernikowej „odwilży” – doświadczyć każdy po swojemu procesu utraty owych nadziei i w większości związać się z ruchem opozycyjnym. Byli to: Jerzy Andrzejewski, Adam Ważyk, Kazimierz Brandys, Tadeusz Konwicki i Wiktor Woroszyński.

Bikont i Szczęsna miały więc inną koncepcję wyboru bohaterów aniżeli Jacek Trznadel, który wydał w roku 1986 w paryskim Instytucie Literackim cykl rozmów z pisarzami *Hańba domowa*. Trznadel, podejmując ten sam temat – stosunku pisarzy do powojennej rzeczywistości, rozmawiał także z autorami, których od początku cechował krytyczny stosunek do niej. Spośród jego rozmówców taką postawę reprezentują: Zbigniew Herbert, Zbigniew Kubikowski i Jan Józef Szczepański. Ja, patrząc z dzisiejszej perspektywy na lata PRL, dorzuciłbym jeszcze takie zjawiska, jak właśnie zarysowana wyżej postawa Pawła Hertzta, którego stosunek do PRL był od początku pełen sceptycyzmu, a do ZSRR – zdecydowanie nieufny. To jednak nie tylko nie przeszkadzało Hertzowi wstąpić do PPR, ale przeciwnie, było argumentem dla potraktowania owej partyjnej przynależności jako swoistej maski ochronnej (do czasu).

**Przemysław Kaniecki:** Nie wiem, czy dla mojego pokolenia – ludzi nie pamiętających nawet dobrze lat osiemdziesiątych – skomplikowane sprawy tego czasu mogą być do ogarnięcia.

**Ryszard Matuszewski:** W ogóle oceniając ówczesne postawy pisarzy nie sposób nie brać pod uwagę bardzo różnego w pewnych wypadkach podłoża psychologicznego ich politycznych decyzji i zaangażowań. Na przykład mój przyjaciel Janek Kott w czasie okupacji hitlerowskiej wstąpił do PPR pod wyraźnym wpływem Stefana Żółkiewskiego, który już się orientował, że w powojennej Polsce decydujący głos będzie miała stalinowska Rosja, że zachodni alianci postawili na nas krzyżyk i jedyne co nam pozostanie, to umieć jak najwięcej uzyskać u sowieckiego hegemonu. Ale o ile publicystyka Kotta z pierwszych lat po wojnie bywała aż drażniąca w swojej partyjnej nadgorliwości, o tyle już w roku 1949, z powodu usztywnienia wytycznych polityki kulturalnej w okresie Zjazdu Szczecińskiego, Kott zaczyna odnosić się do tych zmian z szybko rosnącym krytycyzmem. Przestaje zajmować się współczesną literaturą, by następnie, w okresie przedpaździernikowej „odwilży”, opowiedzieć się wyraźnie za liberalizacją postulatów pod adresem pisarzy i wreszcie – jak już mówiłem – wystąpić z PZPR wraz z całą grupą literatów stanowiących partyjny trzon „Europy”.

Od strony psychologicznej dzieje każdego z partyjnych dysydentów z tak zwanej grupy „Europy” przedstawiały się inaczej. Wiele kontrowersji budziła nagła ideowa wolta Adama Ważyka, który od lat 1939–1941, przeżytych we Lwowie okupowanym przez ZSRR, oraz lat następnych, spędzonych w ZSRR, skąd wrócił jako oficer I Armii WP uformowanej w Związku Radzieckim, deklarował się zarówno w politycznych wystąpieniach, jak i w swojej twórczości jako gorliwy adept komunistycznej ideologii – był autorem bałwochwalczego wiersza o Stalinie Rzeka oraz entuzjastą odbudowy nowej Warszawy (patrz: głośny wiersz *Lud wejdzie do Śródmieścia*, napisany z okazji rozpoczęcia w roku 1951 budowy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej). Jednak już cztery lata później

drukuje *Poemat dla dorosłych*, dający krytyczny obraz zarówno opiewanego przedtem nowego budownictwa w Warszawie, jak i warunków życia robotników w opiewanej do niedawna powszechnie Nowej Hucie. Ta wolta w poetyckich nastrojach byłaby jednak trudna do zrozumienia dla tych, którzy uwierzyliby oświadczeniu samego poety – który zapytany, czym należy tłumaczyć nagły zwrot w jego poglądach, usiłował wykić się stwierdzeniem, że cały okres jego wiary w Stalina, komunizm i osiągnięcia Polski Ludowej był wynikiem szaleństwa („zwarłowałem” – mówił). By w takie tłumaczenie uwierzyć, należało by zarówno przekreślić nie tylko niewątpliwą inteligencję Ważyka i jego życiowy spryt, lecz również fakty, które poprzedziły napisanie *Poematu dla dorosłych*.

Wspomniane fakty to przede wszystkim wewnątrzpartyjna rozgrywka – między Ważykiem a ówczesnymi czołowymi ideologami w środowisku pisarskim (sekretarz generalny ZG ZLP Jerzy Putrament i sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej przy ZLP Janina Broniewska). Otóż na rok przed napisaniem przez Ważyka *Poematu dla dorosłych* Broniewska z Putramentem przeprowadzili na specjalnie w tym celu zwołanym zebraniu partyjnym personalny atak na Ważyka, w wyniku czego nie tylko otrzymał on naganę partyjną, lecz – co ważniejsze – stracił (piastowane przez kilka poprzednich lat) stanowisko redaktora naczelnego miesięcznika „*Twórczość*”.

Nowym redaktorem naczelnym „*Twórczości*” został Jarosław Iwaszkiewicz. Ponieważ atak na Ważyka miał miejsce już na fali postępującej liberalizacji i nadciągającej odwilży przedpaździernikowej, Ważyk, człowiek – co podkreślam raz jeszcze – o wybitnej inteligencji, zorientował się, że jeżeli chce ratować swoją pozycję w środowisku pisarskim, nie pozostaje mu nic innego niż zwrot w poglądach. Ponieważ przez lata utwierdzał się w przekonaniu, że w krajach socjalistycznych podstawowym warunkiem przetrwania jest jak najgorliwsza manifestacja ideologicznej ortodoksji i we wszystkich okolicznościach starał się ją zachować, stwierdził, że w nowych warunkach należy zdecydowanie odciąć się od dotychczasowej partyjnej ortodoksji. Wynikiem tego dobrze przemyślanego planu było napisanie *Poematu dla dorosłych*. Ponieważ przez lata utwierdzał się w przekonaniu, że w krajach socjalistycznych podstawowym warunkiem przetrwania jest jak najgorliwsza manifestacja ideologicznej ortodoksji i we wszystkich okolicznościach starał się ją zachować, obecnie stwierdził, że w nowych warunkach należy się od dotychczasowej partyjnej ortodoksji odciąć jak najbardziej zdecydowanie. I wynikiem tego dobrze przemyślanego planu było napisanie przez niego *Poematu dla dorosłych*.

W późniejszym życiu cała działalność literacka, uprawiana przez ćwierć wieku, jak również obfita i nader cenna działalność translatorska (między innymi antologia poezji francuskiej *Od Rimbauda do Eluarda*, przekłady Blaise Cendrarsa, Gérauda de Nerval, Guillaume Apollinaire’a oraz przekład ód Horacego) składają się na artystyczny dorobek stanowiący całkowite zerwanie poety z jego uprzednim zaangażowaniem politycznym. I zarówno burza, która rozpętała się w kołach partyjnych wokół *Poematu*, jak owo odejście Ważyka w następnych latach od politycznego zaangażowania były rezultatem świadomej i zaplanowanej gry o pozycję pisarską. W ten sposób uratował Ważyk swą pozycję utalentowanego pisarza i przekreślił kilkanaście lat partyjnego podporządkowania.

**Przemysław Kaniecki:** Czy możemy cofnąć się raz jeszcze do okresu, w którym poznał Pan bliżej Ważyka, czyli do lat czterdziestych, kiedy założono „Kuznicę”? Chciałbym zapytać o okoliczności leżące u podłoża Pana związku z tym tygodnikiem.

**Ryszard Matuszewski:** Pismo powstało z inspiracji kilku osób, z którymi łączyła mnie bliska przyjaźń, sięgająca jeszcze lat międzywojennych.

Jeden z jego założycieli, Jan Kott, był moim przyjacielem jeszcze z ławy szkolnej: z warszawskiego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza, które razem ukończyliśmy w roku 1932 roku. Choć łączyły nas zainteresowania literackie, wyrażające się w młodzieńczych próbach poetyckich, obaj po maturze wstąpiliśmy na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Było to tuż po wielkim światowym kryzysie gospodarczym na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, kiedy panowało ogólne przeświadczenie, że studia humanistyczne dają bardzo ograniczone szanse życiowej stabilizacji materialnej. Równocześnie nas obu łączyły przekonania lewicowe, zdecydowana niechęć do ówczesnej młodzieży narodowej popierającej Obóz Wielkiej Polski, a potem Obóz Narodowo-Radykalny (ONR). Obaj wstąpiliśmy po maturze do umiarkowanego lewicującego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej (ZPMD), a niezależnie od tego Janek Kott – zorientowany, że uniwersyteckie Koło Polonistów grupuje nie tylko młodych ludzi o bliskich nam polonistyczno-literackich zainteresowaniach, lecz również należy do niewielu środowisk uniwersyteckich, w których przeważa młodzież o lewicowych poglądach – zaproponował mi, abyśmy do niego wstąpili. I właśnie tam zawarliśmy znajomość ze Stefanem Żółkiewskim (przez szereg lat prezesem Koła Polonistów), która wkrótce przerodziła się w bliską przyjaźń.

Wielu naszych przyjaciół z tego koła nie przeżyło wojny, w tym znakomicie zapowiadający się krytyk Ludwik Fryde, czy też wybitny już przed rokiem 1939 badacz literatury Franciszek Siedlecki. Paru innych jednak przetrwało – na przykład późniejszy członek zespołu „Kuznicy” i mój bliski przyjaciel, Seweryn Pollak (1907–1987), poeta, tłumacz i krytyk, wybitny znawca literatury rosyjskiej. Stefan Żółkiewski, późniejszy główny założyciel „Kuznicy”, przed rokiem 1939 nie był związany z ruchem komunistycznym, należał nawet przez kilka lat do lewicującej organizacji młodzieży powiązanej z obozem Piłsudskiego: Legionu Młodych. Miał jednak już wtedy wyraźnie lewicowych przyjaciół, takich jak ówczesny student w Instytucie Historycznym Władysław Bieńkowski, z którym w czasie II wojny światowej współtworzył Polską Partię Robotniczą.

Inną inicjatywą Jana Kotta, którą wraz ze mną zrealizował już na początku naszych lat studenckich, w roku 1933, było zorganizowanie zrzeszenia nazwanego przez nas Klubem Artystycznym „S”. Klub ten istniał do końca naszych studiów, czyli do roku 1936 i cieszył się popularnością nie tylko w gronie naszych rówieśników o artystycznych zainteresowaniach, ale również wśród niektórych pisarzy starszej generacji. Zawdzięczaliśmy to – mam wrażenie – w jakimś stopniu aurze miejsca naszych spotkań, którym była piękna, zabytkowa sala w staromiejskiej kamienicy Baryczków (dziś segment Muzeum Historycznego na Rynku Starego Miasta). Przed rokiem 1939 kamienica Baryczków była siedzibą Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, w zarządzie którego działał

mój ojciec, architekt Witold Matuszewski (1879–1950). I to właśnie mojemu ojcu za wdzięczaliśmy z Jankiem Kottem możliwość wykorzystywania raz na dwa tygodnie pięknej salki kamienicy Baryczków na zebrania naszego Klubu „S”.

**Przemysław Kaniecki:** Kto przychodził na te zebrania?

**Ryszard Matuszewski:** Spotykaliśmy się tam w gronie 20-30 młodych poetów, malarzy, studentów polonistyki, a stałymi naszymi gośćmi bywali tacy pisarze jak przywódcy ówczesnej awangardy poetyckiej Tadeusz Peiper i Julian Przyboś, jak poszukujący w naszym gronie rozmówców i dyskutantów wybitny krytyk Karol Irzykowski. Odwiedziła nas też parę razy i życzliwie opisała w swoich dziennikach Zofia Nałkowska. Pamiętam również znakomity referat o filozofii Stanisława Ignacego Witkiewicza, który wygłosił wybitny młody filozof, uczeń profesora Tatarkiewicza, Bolesław Miciński. Jeden z naszych kolegów z gimnazjum i z harcerstwa, Janek Werner, który później zdawał maturę w Kaliszu, by następnie studiować w Wyższej Szkole Dziennikarskiej, ściągnął nam do Klubu dwu swoich kolegów z Kalisza.

Jednym z nich był piszący tak jak my z Jankiem Kottem wiersze i studiujący prawo Włodzimierz Pietrzak (1913–1944), z którym niebawem obaj się zaprzyjaźniliśmy i już w grudniu 1933 wydaliśmy wspólnym debiutanckich wierszy „S” (nakładem Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1934). W dofinansowaniu tego zbiorku pomógł nam szulcowską dotacją opiekun „Kuźni Młodych”, Zdzisław Skwarczyński. Drugim kaliszaniec startującym w naszym Klubie „S” był Stefan Otwinowski (1910–1976), autor wydanych już przed 1939 rokiem dwu powieści, a po wojnie znany prozaik i dramaturg. I Kott, i Pietrzak ogłosili jeszcze w roku 1936 własne zbiory wierszy (Kott – *Podwojony świat*, Pietrzak – *Prawo drapieżne*), natomiast mój przedwojenny dorobek poetycki pozostał rozproszony po czasopiśmie, choć drukował mi wiersze zarówno Mieczysław Grydzewski w prestiżowym „Skamandrze”, jak Kazimierz Wierzyński w dodatku literackim „Gazety Polskiej”, a także redaktorzy „Pionu”, „Lwowa Literackiego”, „Kamenu”, „Okolicy Poetów”.

Po ukończeniu w 1936 roku Wydziału Prawa UW odbyłem w latach 1936–37 służbę wojskową w Szkole Podchorążych Łączności w Żegrzu, po czym przez cztery miesiące na przełomie roku 1936 i 1937 pracowałem jako urzędnik Międzynarodowego Biura Podróży Wagons-Lits/Cook. Powodem podjęcia owej pracy w znanym biurze podróży była chęć i ambicja pomocy finansowej mojej ówczesnej narzeczonej, a od lipca 1938 – żonie, Beacie z Sobolewskich (1915–2005), którą poznałem w czasie wakacji na Wileńszczyźnie w 1935 roku i której w 1937 roku starałem się w miarę moich skromnych możliwości pomóc w przyjeździe do Warszawy i podjęciu studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Kiedy już Beata, głównie dzięki życzliwej pomocy architekta Leonarda Tomaszewskiego, ustabilizowała się finansowo, podejmując – niezależnie od studiów – zarobkową pracę maszynistki w Związku Miast Polskich, ja zrezygnowałem z pracy w Wagons Lits/Cook i od kwietnia 1938 byłem aplikantem w Prokuraturii Generalnej RP (nie mylić z prokuratą!), kancelarii obrony interesów skarbu państwa.



**Przemysław Kaniecki:** Aplikantury nie skończył Pan ze względu na wybuch wojny...

**Ryszard Matuszewski:** Tak, przerwana została 1 września 1939.

Kampanię wrześniową przebyłem jako plutonowy-podchorząży łączności, z początku w kompanii łączności 33. Dywizji Rezerwy Piechoty, później przerzucony z Grodna, do którego skierował mnie przydział mobilizacyjny, poprzez tereny Puszczy Kurpiowskiej pod Wyszków. Stąd, utraciwszy kontakt z macierzystą dywizją, przeprowadziłem podległą mi grupę żołnierzy do Warszawy, z Warszawy zaś zostałem odkomenderowany do twierdzy w Modlinie i tam przebywałem do momentu jej kapitulacji. W połowie października 1939, zwolniony wraz z grupą innych żołnierzy-obrońców Modlina z obozu jeńców w Działdowie, wróciłem do Warszawy, gdzie przeżyłem cały okres hitlerowskiej okupacji. Od stycznia 1940 pracowałem w Zarządzie Miasta Warszawy, w wydziale zaopatrującym ludność stolicy w karty uprawniające do nabycia reglamentowanej żywności i odzieży.

Z pracą w Zarządzie Miejskim była związana również w znacznej mierze moja działalność konspiracyjna w strukturach polskiego podziemia patriotycznego.

**Przemysław Kaniecki:** Kto był Pana zwierzchnikiem?

**Ryszard Matuszewski:** Stefan Zbrożyna, były prezydent Płocka i wybitny działacz samorządowy w okresie międzywojennym, któremu zawdzięczałem pracę w Zarządzie Miejskim i który wciągnął mnie w orbitę działalności organizacji pod kryptonimem „Żegota”; Tadeusz Szturm de Sztrem i Edmund Szubert, też związani z podziemnymi strukturami PPS-WRN (Wolność-Równość-Niepodległość) – od nich otrzymywałem konspiracyjne zadania, takie jak pisanie artykułów do podziemnej prasy i materiałów dokumentarno-informacyjnych o warunkach życia w latach okupacji.

Niezależnie od tego podjąłem się funkcji prelegenta na konspiracyjnych porankach poetyckich, których główną organizatorką z ramienia Delegatury Rządu Polskiego na Uchodźstwie była wybitna recytatorka Maria Wiercińska. W kilkudziesięciu takich konspiracyjnych porankach poetyckich, odbywających się w prywatnych mieszkaniach, recytatorami byli wybitni aktorzy – Wojciech Brydziński, Zofia Małynicz, Elżbieta Barszczewska, Marian Wyrzykowski, Jan Kreczmar, Zofia Mrozowska, Andrzej Łapicki, a wokalistami wybitni śpiewacy, w tym baryton Janusz Michałowski. O stronę muzyczną dbał Bronisław Rutkowski, wybitny organista, a także znany redaktor radiowy, autor cyklu audycji „Cała Polska śpiewa”.

**Przemysław Kaniecki:** A prelegenci organizowanych przez Wiercińską poranków?

**Ryszard Matuszewski:** Prelegentami byli pisarze: Jerzy Zawieyski (temat: *Poezja pracy*), poeta Józef Stachowski (temat: *Poezja przyrody*), Jerzy Kierst (tematy: *Poezja religijna*) i ja.

**Przemysław Kaniecki:** Z jakim tematem?

**Ryszard Matuszewski:** Tematem poranków poprzedzonych moją prelekcją wstępną był *Obraz wojny w poezji polskiej*, co w przeżywanym wówczas okresie nadawało zagajaniom przede mną porankom znamiona szczególnej aktualności.

**Przemysław Kaniecki:** Wspomniał Pan wcześniej o „Żegocie”.

**Ryszard Matuszewski:** Tak. Odrębną i chyba dość ważną dziedziną mojej aktywności konspiracyjnej był też udział w pomocy osobom ukrywającym się przed represjami hitlerowskich okupantów. Tak się złożyło, że należał do nich Janek Kott, mój najbliższy przyjaciel z lat szkolnych, jak również jego żona, Lidia ze Steinhausów, córka wybitnego lwowskiego matematyka, profesora Hugona Steinhausa. Należał też do nich mój wieloletni drużynowy i przyjaciel z harcerstwa Antek Rosental (1910–1985) i jego matka, pani Berta Rosentalowa, niezwykle aktywna przed wojną we wspomagającym naszą harcerską drużynę Komitecie Rodzicielskim. Zarówno Kottowie, jak i Antek oraz jego matka w latach okupacji znaleźli czasowy azyl w moim mieszkaniu, a pani Rosentalowa przeżyła w nim nawet, razem z moją matką, cały okres Powstania Warszawskiego. Zarówno Antek, jak i jego matka w latach okupacji mieli fałszywe papiery. Dodać do tego trzeba fakt, że zapytany przez Stefana Zbrożynę, czy mogę wskazać kogoś ukrywającego się z racji podlegania ustawom norymberskim, komu by się szczególnie przydała finansowa pomoc w ramach akcji „Żegota”, wskazałem ukrywającego się na Żoliborzu wybitnego poetę Mieczysława Jastruna, którego wówczas – dzięki Jankowi Kottowi – osobiście poznałem.

Kiedy w październiku 1942 przyszła na świat moja córka Małgorzata, a żona Beata po urlopie macierzyńskim chciała wrócić do dobrze płatnej pracy w prywatnym biurze handlu nieruchomościami, gdzie ją zatrudnił wyżej już wspomniany inżynier architekt Leonard Tomaszewski, zaangażowaliśmy opiekunkę do dziecka. Opiekunka ta, lwowianka ukrywająca się pod nazwiskiem Elżbiety Pańczyszyn, okazała się też – jak zdołaliśmy się z Beatą szybko zorientować – osobą zagrożoną przez ustawy norymberskie. Aresztowana po pół roku przez gestapo miała to szczęście, że aresztujący nie dowiedzieli się o jej pochodzeniu. Przeżyła półtoraroczny pobyt w obozie w Auschwitz, po wojnie skończyła medycynę i wyszła za mąż za kolegę lekarza Lecha Pawłowskiego. Moją przyjaźń z Elżunią Pawłowską (1921–2006) zachowałem do końca jej życia.

Dwie następne, młode podówczas osoby zaangażowane do opieki nad naszą córeczką też okazały się osobami ukrywającymi się z racji pochodzenia. Były to Zofia Zawadzka oraz przyjaciółka Elżuni, Tunia Dmytrach, która towarzyszyła Beacie i mnie, kiedyśmy latem 1944 wynajęli letniskowy domek w podwarszawskim Józefowie – i w ten sposób zrzędzeniem losu uniknęli udziału w Powstaniu Warszawskim.

**Przemysław Kaniecki:** Znaleźliście się Państwo na terenach w ostatnich dniach lipca 1944 zajętych już przez Armię Czerwoną.

**Ryszard Matuszewski:** W moim życiu fakt ten odegrał rolę przełomową, ponieważ odcięty od domu wraz z żoną i dzieckiem oraz pozbawiony elementarnych środków egzystencji byłem zmuszony – ulokowawszy żonę i dziecko u przyjaciół na wsi pod Garwolinem – udać się do Lublina, gdzie formowały się nowe władze Polski Ludowej i istniały możliwości jakiegoś zarobku. Okazały się one dla mnie o tyle korzystne, że wstąpiwszy w Lublinie do reaktywowanego Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz uzyskawszy pracę w piśmie „Wieś”, redagowanym przez jednego z moich przyjaciół z przedwojen-

nego Koła Polonistów, Jana Aleksandra Króla, mogłem zerwać całkowicie z wyuczonym, lecz dalekim od moich zainteresowań zawodem prawniczym i rozpocząć pracę o charakterze dziennikarsko-literackim. Zgodnie z moimi zamiłowaniem, a bez uszczerbku dla swojej bytowej sytuacji.

Oczywiście, moja współpraca z prasą podporządkowaną politycznym założeniom Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wymagała pójścia na daleko idące kompromisy w wielu sprawach. Ale czy była dla kogokolwiek na terenach, gdzie w wyniku sowieckiej ofensywy tworzyły się nowe polskie władze, jakaś alternatywa? Nie widział jej nawet nasz rząd emigracyjny po spotkaniu przywódców antyhitlerowskiej koalicji w Teheranie i Jałcie, na którym tereny Polski i całej Europy Środkowowschodniej po tabę zostały uznane, także przez Roosevelta i Churchilla, za teren wpływów sowieckich. Niektóre przejawy sowieckiego stosunku do polskiego państwa podziemnego napawały przerażeniem, jak na przykład stosunek do Armii Krajowej i jego dosadna ilustracja – słynny plakat na murach Lublina z napisem: „AK – zapluty karzeł reakcji”. Widać było jednak, że nawet nasze nowe, podporządkowane Moskwie władze takie przegięcia starały się zwalczać i w zasadzie dążyły – jak umiały – do pozyskania sobie przychylniej opinii jak największego odłamu społeczeństwa – tyle że przy wszechmocy Sowietów niewiele mogły.

Kiedy rok później, we wrześniu 1945 zostałem powołany do wojska jako przedwojenny podchorąży i – jako człowiek pióra – przydzielony do redakcji „Polski Zbrojnej”, spotkała mnie tam taka przygoda. Po paru miesiącach mojej pracy zjawiała się w tej redakcji jakaś wojskowa komisja i dała nam do wypełnienia ankietę. Jeden z jej punktów zawierał pytanie o organizacyjne powiązania konspiracyjne w czasie hitlerowskiej okupacji. I kiedy – zgodnie z prawdą – napisałem w ankiecie, że byłem członkiem Armii Krajowej oraz współpracowałem z podziemną prasą PPS-WRN, mój redaktor naczelny, stary komunista Henryk Werner, wezwał mnie do siebie, przy mnie podał wypełniony przeze mnie formularz tej ankiety, i podawszy mi inny formularz do wypełnienia powiedział: – Czyś ty zwariował? Masz to w ankiecie przemilczeć! Czy chcesz, żeby się to ciągnęło za tobą przez całe życie? I wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że wprawdzie Henryk Werner jest mi naprawdę życzliwy, ale żyjemy obaj w ustroju opartym na totalnym kłamstwie.

Warszawa, styczeń–luty 2008



Joanna Burgiel, *Patrzą I*